

WYCIECZKA

Ciąg dalszy z poprzedniego numeru

Podróż upłynęła bardzo miło. Lecąc nad oceanem obejrzeliliśmy dwa filmy pełnometrażowe. Zmęczenie jednak, i dwóch podpitych pasażerów z wyraźnie wschodnioeuropejskim akcentem, nie pozwalało się skupić nad akcją. Noc była bardzo krótka. Do lądowania podchodziliśmy wcześniej rano. Wyglądałem przez okienko próbując wyluskać z widoku rozciągającego się pod skrzydłami, jakiś znany kształt, ale nic znajomego w krajobrazie nie było. Byliśmy jednak znów w Polsce. Miałem dziwnie mieszane uczucia. Miałem też nadzieję, że, choć nie umawialiśmy się, ktoś będzie na nas czekał. Trzeba tylko przejść przez kontrolę graniczną i celną. Urzędnik od paszportów patrzył na nas badawczo. Wyglądało, jakby miał dziś zły dzień.

- Paszporty - warknął. Wyciągnąłem rękę z czterema pachnącymi farbą drukarską paszportami. Wolno przewracał kartki. Szukał chyba pieczętek. Przejrzał wszystkie cztery paszporty spoglądając na nas kolejno, po czym wstał i gdzieś wyszedł. Poczuliśmy nieszczególnie. Kolejka za nami zaczynała szemrać.

- Co się dzieje - pytała córka.

- Nie mam pojęcia - odparłem szczerze. Urzędnik w końcu wrócił z powrotem i podał mi paszporty.

- W porządku - stwierdził i machnął ręką na następnego delikwenta. A ... to nowina - pomyślałem sobie. Kontroli celnej właściwie nie było. Miałem tylko rzeczy osobiste i drobne upominki, więc celnik mnie zignorował. Za strefą wolnościową kłębiły się tłumy.

- Tylko się nie zgubmy - żona próbowała kontrolować sytuację. Lotnisko wyglądało zupełnie inaczej niż przed piętnastu laty i łatwo było stracić orientację, szczególnie w takiej ciszy. Rozglądaliśmy się niecierpliwie za jakąś znajomą twarzą, ale bez rezultatu. Nagle w tłumie zobaczyłem znajome szare oczy. W grupie nieznanym mi ludzi stał z uśmiechem, którego nie można zapomnieć, mój ojciec. Przyspieszyłem nieco. On też zrobił kilka kroków w moim kierunku. Łzy cisnęły się do oczu. Wyściskaliśmy się za te wszystkie lata.

- A gdzie babcia - dopytywała się córka.

- Złe się czuła i nie mogła przyjechać, ale za to jest moja najstarsza wnuczka i zięć. Ojciec przedstawiał nas wzruszony.

- Przyjechaliśmy po was dwoma samochodami, bo spodziewaliśmy się, że będziecie mieć dużo bagażu. Mrugnął porozumiewawczo do zięcia.

Na parkingu czekały na nas Opel i Mercedes.

- Nieźle wam się powodzi - zażartowałem.

- E, jakoś leci - stwierdził z uśmiechem mąż mojej siostry pomagając nam zapakować się do samochodów. W końcu ruszyliśmy. Zaraz po opuszczeniu parkingu ogarnęła mnie mieszanina przerażenia i podziwu. Przerażenia, z powodu okropnego, na pozór bardzo chaotycznego, ruchu samochodowego, jakiego jeszcze w życiu nie widziałem i podziwu dla kierowcy, który dawał sobie radę w tym szaleńczym kołowrocie. Wymuszanie pierwszeństwa przejazdu, szczególnie tam, gdzie były roboty drogowe, było główną umiejętnością kierowcy. Jazda samochodem w kanadyjskim mieście jest jednak dużo przyjemniejsza i zdecydowanie mniej stresotwórcza. Błyszczących nowo-

ścią samochodów było tu jednak stanowczo więcej niż u nas. Aż dziw, że nie widać było stłuczek.

Część miasta, przez którą jechaliśmy, wyglądała mniej więcej tak, jak pamiętałem, z tą tylko różnicą, że wtedy nie było tylu reklam i angielskojęzycznych szyldów. Zaraz jak wyjechaliśmy z miasta, dzieci zasnęły, a ja podziwiałem krajobrazy i próbowałem rozmową z ojcem wypełnić piętnastoletnią lukę w pamięci. Dojeżdżając do naszego miasteczka uderzył mnie widok olbrzymiej masy zieleni, jaka przybyła od czasu, kiedy tu mieszkaliśmy. I wszystko jakby zmalowało. Jakie to było różne od kanadyjskich osiedli. Rynek, ciasne uliczki, bruk i znajomy zapach miejsca, gdzie spędziłem najprzyjemniejsze lata życia wywoływał gwałtowną lawinę wspomnień. Jeszcze dwie ulice, dwa zakręty i na chodniku przed furką do ogrodu stała, podpierając się laską, mama. Z pogodnym uśmiechem wyciągała rękę. Nawet nie przypuszczałem ile radości może sprawić takie spotkanie. Łzy znów polały się rzę-sięcie. Potem prezenty, dużo śmiechu i opowieściom nie było końca. Na stole pojawiły się smakołyki, które pamiętałem jeszcze z dzieciństwa, no i nie mogło się obyć bez nieodłącznego pół litra. Przegadaliśmy pół nocy, a następnego dnia z dziećmi wybraliśmy się na wspólne zwiedzanie miasta. Dla syna, który urodził się w Kanadzie, wszystko było tu nowe, a dla mnie? No cóż. Każdy zaulek wiązał się z jakimś wspomnieniem. Żona promieniała. Zachwycała się każdym drobiazgiem. Nawet odczytywanie nazw ulic przyprawiało ją o dobry humor. Coś mi tu jednak nie pasowało. Dwie główne ulice naszego miasteczka nie nazywały się tak, jak dawniej. I z pomnika na placu zniknęła gwiazda. Słyszałem już wcześniej o wymazywaniu z historii symboli okresu, który nie kojarzył się wszystkim najlepiej. Nie sądziłem jednak, że usuwanie wrośniętych w krajobraz elementów miasta było najlepszym sposobem na wyrażanie aktualnych nastrojów społeczeństwa, ale cóż. Nowi ludzie - nowy porządek. W Montrealu też pozmieniano nazwy głównych ulic z powodów czysto politycznych.

Któregoś dnia zabraliśmy z żoną wszystkich małych i wybraliśmy się do wesołego miasteczka. Z początku nawet kontrolowaliśmy sytuację, ale wkrótce szaleństwo przybrało niespotykane rozmiary. Musieliśmy spróbować wszystkiego. W miasteczku nie było zbyt dużo ludzi, więc zabawa trwała w najlepsze bez oczekiwania w kolejkach. Obsługa urządzeń lunaparku była bardzo miła. Wszędzie witano nas z radością.

- My chcemy na karuzelę - wrzeszczeli dwaj najmłodszy członkowie naszej grupki.

- Tam przecież nikogo nie ma - próbowałem ostudzić trochę zapędy dzieci, ale ciągnęły mnie już za ręce do furki w płocie otaczającym karuzelę. Przy furcie siedział młody człowiek w czapeczce basebolowej prowadzący rozmowę przy użyciu telefonu komórkowego. Pożegnał się szybko z rozmówcą, jak usłyszał harmider zbliżający się do niego. Spytałem go kiedy zamierza uruchomić karuzelę.

- To jest kapitalizm, proszę pana. Klient jest - karuzela jedzie. Trzy złote od osoby poproszę. Z uznaniem popatrzyliśmy z żoną

po sobie. Dzieciaki już się sadowiły w siedzeniach i karuzela ruszyła. Staliśmy przy furcie i z przyjemnością obserwowaliśmy roześmiane buzie dzieci. Osiem, czy osiemnaście lat, radość była taka sama. Wracając do domu dzieciaki zgłodniały. Już wcześniej zwróciliśmy uwagę na wielkie, żółte M - symbol McDonalda - zastaniające część renesansowej kamieniczki w rynku, ale jakoś do tego czasu udawało nam się omijać ten przybytek amerykańskiej „fast food”. Tym razem jednak zostałem zakrzyczany i musieliśmy wejść do środka. Staaliśmy w kolejce. Para nastolatków przed nami zamówiła dwa czikieny i szejki. Syn spojrzął na mnie ironicznie. Rozumieliśmy się bez słów. Wiele razy zwracałem mu uwagę na czystość języka, na eliminowanie amerykańskich z mowy, jaką posługiwaliśmy się w domu, a tu taka niespodzianka. Polska i czikieny? Zgroza, ale najważniejsze, że brzuchy były pełne i zadowolenie całkowite. Później okazało się, że za rogiem można było zjeść frytki z doskonałą świeżutką rybą za pół ceny w stosunku do tego, co oferował McDonald's, ale cóż. Moda na Amerykę widać jest dla młodych ważniejsza, niż zdrowy rozsądek. No i komputeryzacja. Odwiedziliśmy dużo bliższych i dalszych znajomych i w większości domów były komputery. U rodziców w domu też. Syn mojej siostry budował sobie właśnie stronę internetową, miał więc atrakcyjny temat do rozmowy z moim synem. Spędzali całe godziny analizując możliwości ulepszenia atrakcyjności strony.

- Wejdz na <http://studiom1.cjb.net> - poprosiłem go kiedyś, żeby pochwalił się rodzicom swoją twórczością, którą publikuje na internecie. Mój portal wzbudził nawet uznanie młodego adepta sztuki komputerowej, ale nie przyznałem się, że syn pomagał mi w tym wydatnie.

Czas mijał tak szybko. Nawet nie spostrzegłem, kiedy minął mój urlop. Z tego co widziałem, ludziom w Polsce żyje się ciągle ciężko. Mimo swojej zaradności i nieznaney mi z czasów, kiedy tu mieszkalem, kultury w obcowaniu z sobą, szczególnie w relacjach klient-sprzedawca, ludzie w Polsce muszą pracować dużo ciężiej od nas, żeby żyć w miarę dobrze.

Żona zostawała jeszcze z dziećmi na resztę wakacji, a ja wyjeżdżałem z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony ogarniał mnie smutek związany z faktem, że opuszczałem rodziców, rodzinny dom i całą tkliwość płynącą z atmosfery otaczającej to miejsce, a z drugiej znów, nie mogłem się już doczekać powrotu. Nie wyjeżdżałem z Polski, jak piętnaście lat temu, tylko wracałem. Wracałem do mojego domu, do miejsca, które stworzyłem własnym wysiłkiem dla swojej rodziny, wracałem do środowiska, z którym związała mnie praca, przyjaźnie i wspólne kłopoty. Wracałem do siebie.

 Bolesław Łucki

27 października br. w klubie SPK w Winnipeg, w cyklicznym programie pt. *Poezja pod filarem* będzie prezentowana twórczość K.K. Baczyńskiego. Jeżeli chciałbyś usłyszeć swoje ulubione wiersze tegoż autora, prześlij tytuły utworów na adres: studiom@escape.ca lub zostaw wiadomość pod numerem 233-9342 w godzinach od 8.00 do 16.00.

„CZŁOWIEK POD WZGLĘDEM PRAW I POWINNOŚCI SWOICH”

Jan Bętkowski
Kraków 1852 r.



Sprawiedliwość

[fragmenty]

Łatwe to dla każdego zadanie, kto mu zadosyć uczynić pragnie, sama je wskazuje natura prostym i powszechnie znanym przepisem: Nie rób drugiemu, co tobie nie miło. Oddawaj zawsze wszystko, co komu należy. [...] Każdemu z nas miłe jest życie, zdrowie, mienie, dobra sława i wszelkie inne rzeczy już to do utrzymania, już do uprzyjemnienia bytu naszego potrzebne. Wszystko to ma być świętą dla nas rzeczą, tak dalece, że gdyby nawet ktoś krzywdę nam w tej mierze wyrządził, my nie oddawamy złem za złe, raz, że doznajemy nieprzyjemności takiego czynu, a powtóre, że się to sprawiedliwości sprzeciwia [...] szanujmy wszelkie przynależności bliźniego słowem i czynem, nie wyrządzając mu szkody, na zdrowiu, sławie i majątku, a stanie się zadosyć, pierwszemu warunkowi sprawiedliwości.

Myśli z pogranicza SNU i POEZJI

człowiek krzyczy:
„bóg - honor - ojczyzna”
łatwiej mu wtedy
osierocić syna

człowiek krzyczy:
„wiera - nadzieja - miłość”
łatwiej mu wtedy
głosić ideały

człowiek krzyczy:
„prawo i pięść”
łatwiej mu wtedy
wznosić szubienice

człowiek krzyczy:
„oko za oko - ząb za ząb”
łatwiej mu wtedy
rozgrzeszyć gwałt

człowiek krzyczy:
„wolność - równość - braterstwo”
łatwiej mu wtedy żyć
złudzeniem sprawiedliwości

człowiek krzyczy:
„boże bądź miłościw”
łatwiej mu wtedy odpuścić
sobie winy

człowiek krzyczy:
„człowiek to brzmi dumnie”
łatwiej mu wtedy tolerować
własną próżność

człowiek krzyczy:
„myślę więc jestem”
jak monstrialna jest pycha człowieka
jak mała pokora

(eu-be)